
Rafał Tomański
Tatami
kontra krzesła

O JAPOŃCZYKACH I JAPONII

z fotografiami autora

Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA

Projekt okładki: *Michał Brzozowski*
Redakcja: *Jan Koźbiel*
Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*
Korekta: *Katarzyna Szajowska*

© by Rafał Tomański
© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2011

ISBN 978-83-7495-938-4

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
Warszawa 2011

Wstęp

Alf w Japonii

„Lot z USA do Japonii trwa mniej więcej tyle, co studia prawnicze” – tak w każdym razie twierdzi Dave Barry, znany amerykański satyryk. A dokładnie: podróż z Warszawy do Tokio zajmuje prawie dobę – razem z przesiadką (bezpośrednich lotów nie ma) i zmianą czasu. Ja leciałem przez Amsterdam; wylot z Okęcia około 10 rano, potem dwie godziny w powietrzu, trzy godziny na Schiphol, i już bezpośrednio na Naritę. Koniec podróży około 7 rano następnego dnia. Pilot często pociesza pasażerów, że z powrotem leci się szybciej, bo z wiatrem. Ale szybciej oznacza raptem godzinę mniej...

Każda z tych godzin mija na niecierpliwym przebieganiu nogami i oczekiwaniu, kiedy wreszcie w oknie pojawi się tokijskie lotnisko Narita. Linie lotnicze starają się już na wysokości 10 tysięcy metrów wprowadzić klimat Japonii. Budują napięcie niczym w filmie sensacyjnym i wraz z każdym kolejnym kęsem łośosia w *teriyaki* podekscytowanie rzeczywiście narasta. Bo Japonia jest jednym z miejsc na ziemi – obok Tybetu, Meksyku czy Australii – do których podróż jest wydarzeniem, i to niezależnie od tego, czy sam lot trwa trzynaście i pół godziny (z Nowego Jorku), szesnaście godzin (z Amsterdamu), czy dziewięć i pół godziny (z Sydney),

czy jedzie się do niej w interesach, na wakacje czy w odwiedzinach.

Pamiętam, jak dawno temu, kiedy miałem trzynaście lat, tata przyniósł mi z jakiegoś spotkania dwie japońskie wizytówki. Z jednej strony były zapisane rządkiem znaków, z drugiej, na szczęście, normalnymi literkami po angielsku. Dowiedziałem się z wersji angielskiej, że obaj panowie od wizytówek pracowali w japońskiej agencji prasowej, pamiętam do dziś, że jeden z nich nazywał się Minoru Nakamura. Lekko kremowy papier nadawał im odpowiednią odrobinę słusznej, właściwej wysokiemu stanowisku grubości, którą wyczuwało się w palcach. Znaki z czarnego tuszu sprawiały wrażenie wypukłych, choć to akurat było jedynie złudzenie. Każdy element małych kartoników wydawał się doskonale wyważony i wpasowany w całość sprawiającą wrażenie efektu wieloletnich nauk i studiów nad tym, jak skonstruować wizytówkę doskonałą. Oglądałem je ze wszystkich stron, próbowałem przerysowywać znaki, znaleźć w nich jakąś logikę, ciągle porównując do angielskiej wersji z drugiej strony.

Akurat miałem wtedy pod ręką słownik znaków japońskich, pierwszą taką pozycję na polskim rynku (wydaną przez Wiedzę Powszechną), zacząłem więc go kartkować, szukając sposobu na rozgryzienie znaków. Wciągnęło mnie to tak bardzo, że nie mogłem się oderwać przez parę ładnych dni. Szczęśliwie dla poszukiwań się złożyło, że czasu miałem sporo, bo złapałem przeziębienie i mogłem bezkarnie siedzieć nad tym wszystkim. I szukać, dopasowywać kreski, głowić się, jak się je ze sobą łączy. Czytałem o hiraganie, katakanie, *kanji*, aż w końcu udało mi się odnaleźć w książce pierwszy ze znaków z wizytówki. Byłem z siebie bardzo dumny i uznałem, że dam radę przetłumaczyć wszystko. Wersja angielska nie kłamała, ten Japończyk rzeczywiście nazywał się Minoru

Nakamura. Nie było to proste zadanie, ale z czasem przekonałem się, że z Japonią nic nie jest proste.

Po wylądowaniu na lotnisku Narita albo Kansai International już podczas kontroli paszportowej trzeba wypełnić karteczkę zatytułowaną *To alien entering Japan*. Tylko ten, kto zna japoński, zauważy od razu, że niezbyt szczęśliwie przetłumaczono słowo „obcokrajowiec”. Dla pozostałych (czyli przeważającej większości) jest to po prostu *alien*. Ktoś taki jak serialowy Alf, który przyleciał z planety Melmac, składa się w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach z włosów, ma osiem żołądków i zupełnie nie rozumie, dlaczego tubylcy uważają jedzenie kotów za wielce niestosowne. Japończyk w okienku odprawy paszportowej od razu mierzy nas wzrokiem pozbawionym litości i domaga się podania szczegółowych danych o miejscu planowanego pobytu. Trzeba wiedzieć, dokąd się jedzie – przecież nie można ot tak sobie przyjechać, no bo jak to tak? Na początek: miejsce planowanego pobytu? Jeszcze nie wiem. Nie wiadomo? Jak to nie wiadomo? Naprawdę można się poczuć jak Alf, czyli *Alien Life Form*. I co najgorsze, poczucie wyobcowania – które będę dalej nazywał syndromem Alfa – nie mija. Wręcz przeciwnie. Serialowy Alf na początku radzi sobie całkiem nieźle, ale już w siódmym odcinku zaczyna rozpaczliwie tęsknić za domem i popada w coraz głębszą depresję. Zupełnie jak Charlotte, bohaterka *Między słowami* Sofii Coppoli, która w jednej ze scen szłocha siostrze w słuchawkę, że nic, ale to nic nie czuje, mimo że już była w świątyniach, słuchała śpiewów mnichów i próbowała nawet ikebany.

Ja osobiście nie zacząłbym poznawania Japonii od ikebany. Gdybym jednak zaczął, to najpierw spróbowałbym zrozumieć, o co w niej, do diabła, chodzi. A żeby w ogóle móc zacząć ją rozumieć – przecież wielowiekowej kultury nie da się zrozumieć po przeczytaniu instrukcji obsługi

– nie wystarczy wiedzieć, że ikebana dosłownie oznacza „żyjące kwiaty”, że liczy sobie ponad pięćset lat i że naucza się jej w japońskich szkołach i na uniwersytetach. Najważniejsze pytanie brzmi: co dorośli, poważni ludzie widzą w zbiorowym układaniu kwiatów – zupełnie jak na zajęciach plastycznych w zerówce? I dlaczego przy tym milczą? I po co do tego wszystkiego nauczyciel? Jednym słowem, spróbowałbym rozpracować Japończyków. Właśnie to zamierzam zrobić w tej książce.

Rozpracowywać Japończyków mogę tylko z pozycji przybysza z daleka, aliena. Z kilku powodów. Po pierwsze – ale wcale nie najważniejsze! – nie jestem Japończykiem. Bardzo lubię kleisty ryż, przeczytałem wszystko, co napisał Murakami, i widzę różnicę między majowym deszczem (*samidare*) a deszczem padającym w maju (*gogatsu no ame*), ale nie zmienia to faktu, że Japończykiem nie jestem i nic na to nie poradzę. Włosy też mam za krótkie, żeby związać sobie mocno kucyki i zrobić „skośne” oczy. Ruth Benedict, autorka *Chryzantemy i miecza*, także nie była Japonką. Zdecydowanie nie była Japonką. Urodziła się w Nowym Jorku, a co więcej w latach jej kariery naukowej Japonia kojarzyła się przede wszystkim ze zniechęconym agresorem, który napadł na Pearl Harbor i zaciekle bił się z amerykańskimi chłopcami na Pacyfiku. Druga wojna światowa zbliżała się do końca, wiadomo już było, że Ameryka będzie okupować Japonię i że trzeba będzie poznać mentalność pokonanego. Punktem wyjścia dla Benedict była niezrozumiała dla Amerykanów reakcja wstydu u japońskich żołnierzy branych do niewoli. Na potrzeby rządu amerykańskiego napisała książkę o japońskim społeczeństwie, książkę niewielką, momentami syntetyczną i skrótową, ale bez wątplenia lekturę obowiązkową po dzień dzisiejszy. I to wszystko bez spędzenia choćby jednego dnia w Japonii.

Mimo to Benedict utrafiła w sedno japońskiej mentalności; gdyby tę książkę pisał Japończyk, wtedy – paradoksalnie – nie byłoby tak prosto. Musiałaby być obszernym traktatem naukowym, naszpikowanym zdaniami bardziej skomplikowanymi niż spirala DNA. Nie wynikałoby z nich nic, wszystkie za to dbałyby o dziesiątki rozbudowanych form gramatycznych. I o ile w wersji oryginalnej traktat mógłby chociaż kształcić pokolenia językoznawców, którzy pisaliby prace doktorskie analizujące pojedyncze zdania-potwory, o tyle w tłumaczeniu na jakikolwiek inny język mógłby co najwyżej podpierać chybottliwy stolik. Japoński tekst naukowy nie może nawet otrzeć się o humor, nie może traktować niczego z przymrużeniem oka. Musi być sztywny, precyzyjny i napisany bardzo, ale to bardzo ozdobnym językiem.

Oczywiście upraszczam, ale to trochę tak jak z ocenianiem ludzi po wyglądzie. Niby nie można i nie powinno się tego robić, lecz instynkt jest silniejszy i nie pozwala nie ocenić kogoś przy pierwszym spojrzeniu. Oczywiście nie należy kierować się stereotypami. Utarte myślenie prowadzi zwykle do błędnych wniosków i gdyby uznać, że cała japońska nauka to sam bełkot i niezrozumiałe konstrukcje, byłoby to nie fair wobec chociażby Takeo Doi i jego *Anatomii zależności*. Jest to druga, obok książki Benedict, pozycja niezbędna do poznania japońskiej psychiki. W tym wypadku autor jest jak najbardziej Japończykiem. Uważa się go za jednego z najważniejszych myślicieli powojennej Japonii. Doi bardzo dużo czasu spędził w USA, wystarczająco dużo, by zdać sobie sprawę, że czegoś mu brakuje. I nie chodziło o brak świeżej ryby, łowionej w Zatoce Tokijskiej, ani o cichy szmer modlitw w świątyniach. Brakowało czegoś w środku, czegoś, o co zdawała się upominać dusza pana Doi. Czegoś równie ulotnego jak spadające płatki wiśni na przełomie marca i kwietnia. I równie mocno chwytającego za serce.

W efekcie Takeo Doi, mieszkając w Stanach, stworzył koncepcję *amae*, czyli zależności od innych, dającej poczucie bezpieczeństwa i akceptacji, i poświęcił się badaniom nad nią. Nazwa wywodzi się od japońskiego czasownika *amaeru*, który oznacza potrzebę bycia kochanym. Doi zadał sobie dużo trudu, by zgłębić japońską psychikę i rozpracować podstawowy mechanizm japońskiego myślenia. Tak powstała wspomniana *Anatomia zależności*.

Analizowanie Japończyków z punktu widzenia przybysza, obcego, ma tę podstawową zaletę, że pozwala uniknąć wchodzenia w niuanse językowe, które dla nie-Japończyków byłyby kompletnie niezrozumiałe.

Różnicę między japońskim słowem oznaczającym „dawanie czegoś komuś o pozycji wyższej niż dający” (*sashi ageru*) a japońskim słowem oznaczającym „dawanie czegoś komuś o pozycji równej dającemu” (*ageru*) pojęłoby góra parę osób – nie licząc oczywiście wydziałów filologii japońskiej, gdzie się rozumieć takie rzeczy musi, a i tam analiza takiego niuanosu zajęłaby zapewne cały semestr; co prawda nieco dłużej niż analiza jednego haiku Basho, ale odrobinę krócej niż rozważania nad trzydziestą piątą księgą najstarszej powieści świata z X wieku. Przy czym większość analizowanych słów dla każdej osoby nieznającej japońskiego wyglądałaby jak wygenerowana przez specjalnego japońskiego robota losującego przypadkowe sylaby.

Kolejna sprawa: stereotypy. Jeśli rozumieć stereotypy tak, jak rozumiał je Walter Lippman, który szczęśliwie zdążył ukuć ten termin, zanim świat z *Czerwonej książki* Mao dowiedział się o politycznej poprawności, czyli jako „obrazy w ludzkich głowach”, to w tej książce jest ich co niemiara. Mam tu na myśli jedynie niewinne i niekrzywdzące obrazy Japończyków i Japonii. Wiem, że są często bardzo dużym uproszczeniem, ale nie zmienia

to faktu, że niosą w sobie wiele prawdy i pomagają uporządkować rzeczywistość.

Nikt nie neguje, że większość nacji wykształciła typowe dla siebie cechy, dzięki którym funkcjonują w naszej świadomości. Na przykład Szwajcaria – od razu przychodzi na myśl zegarki i precyzja (inna sprawa, że szwajcarski przemysł zegarmistrzowski odżył dzięki najprostszym, najtańszym i plastikowym zegarkom Swatch i strategii marketingowej Nicolasa Hayka, notabene pół-Libańczyka). Co z tego, że Alpy, krowy z dzwoneczkami, zielone stoki gór i w ogóle jeden z najczystszych krajów na świecie – w powszechnej świadomości Szwajcaria od lat równa się zegarki i precyzja. Tak jak Anglia – rozmowy o pogodzie i angielski humor. Mamy więc hiszpańską inkwizycję, czeski film, szwajcarską precyzję, angielski humor, miłość francuską – a co jest typowo japońskie? Jacy są Japończycy? I dlaczego tacy?

Spróbuję odpowiedzieć na te pytania, starając się jednocześnie uniknąć tak zwanego odkrywania Ameryki i pisania rzeczy oczywistych w rodzaju „jeżeli w pubie widzimy osobę, która ostentacyjnie czyta gazetę, jest to znak, że nie szuka z nami żadnego kontaktu”. Wiadomo, że tak jest. Niezależnie od tego, czy rzecz się dzieje na Wschodzie czy na Zachodzie, na półkuli północnej czy południowej, każdy, kto nie chce z nikim gadać, wsadza po prostu nos w gazetę. Chyba że nie ma gazety, wtedy z pełną powagą miną, jakby co najmniej finalizował fuzję banków, pisze SMS-a.

Jeden z bohaterów książki Umberto Eco *Wahadło Foucalta* uznał, że nie warto w ogóle pisać, bo skoro jakiś pomysł przyszedł do głowy jemu, to przedtem bez wątplenia wpadł już na niego ktoś inny. Ja jednak postanowiłem sprawdzić, czy rzeczywiście tak jest. Czy ktokolwiek przeanalizował japońskość, a w szczególności jej współczesną wersję. Sprawdziłem w polskich

i zagranicznych księgarniach internetowych wszystkie możliwe pozycje z ciągiem liter „jap...” w tytułach i opisach i z ulgą odkryłem, że nikt mnie nie ubiegł. Za to znalazłem całkiem sporo pozycji, które można podsumować jednym zdaniem: Przeżyłem w Japonii i postanowiłem napisać o tym książkę. Z rozbawieniem czytałem takie tytuły jak: *Moja matka jest traktorem: życie na japońskiej wsi*, *Dama i mnich: cztery pory roku w Kioto*, *Za granicą w Japonii: wszystko, czego zachodnia kobieta potrzebuje, by przeżyć i rozkwitnąć*. Ciekawe, że w wielu tego typu książkach jako cezura czasowa pojawia się 1 rok (słownie: jeden rok). Zupełnie jakbyśmy nie mieli do czynienia z odmienną kulturą, ale z inną planetą. A propos matki-traktora: podczas ostatniego mundialu przez chwilę zabłysnął japoński piłkarz Keisuke Honda. Zdarzyło mu się strzelić bardzo ładną bramkę z rzutu wolnego, i to jeszcze w meczu z Danią. Po meczu mówiono, że Japończycy rozpracowali sekret kontroli nowej piłki Jabulani (kolejny mecz – z udziałem Hondy również – pozbawił wszystkich złudzeń, Japonia odpadła w karnych z 1/8 finału z Paragwajem, i to z powodu pudeł). To byłoby na tyle o mistrzowskiej kontroli superpiłki w RPA w czerwcu 2010 roku w wykonaniu Japończyków, o której rozpisywały się wówczas gazety. Ale co do piłkarza i matki-traktora – gdy Honda przechodził do klubu CSKA Moskwa, na konferencji prasowej wypalił dziennikarzom na powitanie: „Dzień dobry, nazywam się Honda i nie jestem motocyklem”.

Ale wracając do sedna... Dave Barry z właściwym sobie humorem ostrzega, że w Japonii trzeba uważać, gdzie się wchodzi, bo może się okazać, że szyld oznacza nie restaurację, tylko „ekspresową wasektomię”. Trzeba też uważać z kłanianiem się i odkłanianiem, bo może to się skończyć ukłonami do walizki. No i fugu! Strzeżcie się, podróżni, ryby fugu! Ryby, za którą ci niedorzeczni Japończycy

placą setki dolarów, mimo że rok w rok kilku z nich umiera w ciągu paru sekund po jej zjedzeniu.

Ale Japończykom z nami też nie jest łatwo. Pamiętam, jak mój pierwszy japoński wykładowca na wydziale japonistyki miał zwyczaj zwracania się do nas łamaną polszczyzną „Kccceś umzićć?”. Zawsze, kiedy któreś z nas na pierwszym roku popełniało jakiś głupi błąd, a on grzmiał tym swoim „Kccceś umzićć?”, albo wywoływał nas równie pokracznie po imieniu – na przykład „Ksiśtof-kun, co znaczy: kolego Krzysztofie – i dalej z tą śmiercią, zanosiliśmy się śmiechem, a on nie rozumiał, czemu nas to bawi. „Dlaczego wy śmiejecie?”. Przecież to poważna sprawa – nauka, z czego tu sobie robić żarty?

Mało kto nie wie nic o japońskiej kulturze. Prawie każdy oglądał coś Kurosawy, widział *Między słowami*, czytał Murakamiego albo *Wyznania gejszy*, wie, co to jest manga, ile linijek ma haiku i czym różni się maki od nigiri. Cytowany wcześniej satyryk Dave Barry z ironią stwierdził po trzytygodniowej podróży do Japonii, że nie został nagle ekspertem od mającej tysiące lat, niesłychanie złożonej i subtelnej kultury japońskiej, bo „na to potrzeba przecież co najmniej miesiąca”.

Próbując dotrzeć do istoty japońskości, korzystałem przede wszystkim z metodologii Alfa, czyli przyjeżdżam, patrzę, słucham i segreguję w głowie informacje, żeby jak najlepiej zrozumieć nowe miejsce. Następnie konfrontuję je z tym, co kiedyś przeczytałem, obejrzałem albo dowiedziałem się od moich japońskich profesorów.

Ta książka to coś w rodzaju minirozmówek przydatnych w podróży. Nie aspiruje do kategorii wyczerpująca monografia, nie ma na celu naukowego dowodzenia poruszanych teorii. Jest to książka dla tych, których Japonia fascynuje. Pierwsza osoba, która miała okazję przeczytać ostateczną wersję tego tekstu, powiedziała, że chciałaby pojechać na miesiąc do Tokio. Była to dla

mnie bardzo dobra wróżba przed pokazaniem go w wydawnictwie.

Staram się opisać Japończyków ze strony głównie praktycznej i przydatnej, by zrozumieć ich jak najlepiej. Zaczynam od ich wyglądu, potem analizuję język, pismo, sposób komunikowania się, gesty, reguły grzecznościowe, to, jak mieszkają, jak się przemieszczają, co jedzą, jak się uczą i pracują, gdzie odpoczywają, jak się bawią, co ich śmieszy, w co wierzą, jak sami siebie oceniają, z czego bierze się ich potęga gospodarcza.

Potem konfrontuję moje obserwacje i analizy z najważniejszymi regułami, które rządzą zachowaniem Japończyków i które sami Japończycy stworzyli.

Ich sposób myślenia jest dość skomplikowany, obwarowany wieloma nakazami i ograniczeniami zarówno historycznymi, jak i kulturowymi, ale wszystko u nich ma swój powód, logikę i nie bierze się znikąd. Japończyków można rozgryźć. I wcale nie trzeba sobie łamać przy tym zębów.

Spis treści

Wstęp	
Alf w Japonii	7
Rozdział 1	
Pierwsze wrażenia	17
Tatami kontra krzesła	18
Wiek	21
Moja twarz kształtuje mój charakter	21
Yaeba	23
Winda czarnych głów	25
Z troską o innych	26
Czy jesteś <i>metabo</i> ?	27
Lody, piwo i hantle	29
Samochód może być w dowolnym kolorze	31
Złota rybko, złota rybko, zrób, żebyś schudł!	35
Jedna powieka vs dwie powieki	37
Herbaciane włosy	38
Bajka o królownie	40
<i>Cosplay</i>	42
Japońskie plemiona	43
Piąta pora roku	49
Podsumowanie	50

Rozdział 2	
Porozumiewanie się w Japonii	54
Kółko, krzyżyk i czarne zęby	55
V jak... No właśnie, jak co?	56
Nazywam się Bond, Bond James	59
Język japoński	60
<i>Lip my stockings!</i>	63
<i>Lalka Prusa czy Rarka Plusa?</i>	65
O co chodzi z tym japońskim?	67
Bardzo przepraszam, że przepraszam...	70
Czemu kobiety mówią inaczej niż mężczyźni?	75
Gdzie by tu schować wizytówkę...	78
Krzaki, patyki, robaczki, cionki, czyli po prostu <i>kanji</i>	80
A jak to czytać?	85
I z której strony?	87

Rozdział 3	
Mieszkanie, nauka i praca w Japonii	94
Życie w kapsule	100
Śmierć z przepracowania	108
Ale czy zawsze tak pracowano w Japonii?	114
<i>Ijime</i>	119
Czego jeszcze boją się Japończycy?	123
Pieniądze w Japonii	129
Syndrom męża na emeryturze	133
<i>Sarariman</i> staje się <i>furitā</i>	135
Pasożyty	139
Pokój zamknięty na klucz	141
Niebieskie światło w metrze	143

Rozdział 4	
Japończycy i technologia	150
Punktualny i (prawie) bezwypadkowy	151
Dolina osobliwości	157
Raj dla gadzeczarzy	168
Rowery w Japonii	172
Rozdział 5	
Co Japończycy robią w wolnym czasie?	176
Honor w sporcie rzecz święta	176
Szybkie przeciwdziałanie uderzeniom przeciwnika	179
Zabawić się na śmierć	186
Japońskie kino	194
Początki <i>yakuza movies</i> a japońskie postrzeżenie śmierci	195
Japonia a sprawa porno, czyli syndrom niezmiennych majątek	199
Książki w Japonii	208
<i>Pachinko</i> – narodowa obsesja	211
<i>Japandering</i>	218
Jak postrzegani są cudzoziemcy w Japonii	220
Syndrom paryski i podróże	222
Rozdział 6	
Jedzenie i zakupy w Japonii	225
Pałeczki	226
Gdzie na zakupy	228
Gotowanie w domu w Japonii	230
Brytyjskie curry i <i>cotelette de Schnitzel</i> , czyli <i>kare raisu</i> i <i>tonkatsu</i>	234
	275

<i>California rolls</i>	237
Chińskie zupki zostały tak naprawdę wynacone w Japonii	239
Rozdział 7	
Syndromy i <i>amae</i>	243
<i>Inemuri</i>	243
Syndrom syndromu	246
Dlaczego tacy są?	248
Prognozy dla Japonii	253
Chopin grałby na konsoli?	256
Podsumowanie	259
Źródła	265
Źródła internetowe	265
Bibliografia	269